

Odludek kończy...

669
KRZYSZTOF KUCHARSKI

Wrocławski sezon teatralny skończył „Mizantrop” Mollera. Z dużą ulgą odetchną teatralni snobi i zawodowi wizytatorzy życia teatralnego. Może tylko żartowi to teatralnych maniaków, którzy kochają miłością czystą wszystko co wiąże się ze sceną.

Ostatnia premiera na scenie Teatru Kameralnego miała mieć różnych smaczków całe mnóstwo. Po pierwsze — przekład prozą Jana Kotta uważanego w określonych kręgach za dysydenta. Do tego przekład, jak głosi fama z kluczem, to znaczy będący pastiszem krakowskiego środowiska literackiego lat sześćdziesiątych. Dziś, niesety, nieczytelny dla przeciętnego pozeracza teatralnych premier, jako że ktoś musiałby wszystkie postaci rozszyfrować, co też trzeba przyznać nie bardzo ma sens. Po drugie — na scenie występuje w głównych rolach kilku młodych, byłych aktorów Teatru Współczesnego. Po trzecie i to mnie najbardziej intryguje, część wykonawców jakby udawała kilku znanych aktorów warszawskich. Jerzy Schejbal grał jak z nut a la Fronczewski, Zdzisław Sośnierz a la Janczar-senior, Mirosława Lombardo a la Andrycz, itd. Zresztą może zmęczony jakimś sezonem uległem jakiejś malignie?

Zastanawiałem się dlaczego Molierowski „Mizantrop” trafił dziś na scenę i to w tym akurat przekładzie. Po spędzeniu wieczoru w teatrze nic w tej sprawie nie przyszło mi do

głowy. Wielkich pieniędzy napędzać nie będzie, choć powinien być dobrze przyjmowany przez publiczność na okoliczność swojej mocno flirtowej anegdoty. Festiwalu żadnego nie wygra, bo całe przedsięwzięcie wypadło raczej średnio. Momentami nawet przy nudza, bowiem reżyserująca przedstawienie Maria Straszewska bała się mocniej, ku większej zwartości i dynamice przedstawienia, posługiwać ołówkiem.

Najbardziej podobał mi się język Kotta, celne dialogi miękko wpadające w jedno ucho i ulatujące jak duchy drugim. Przyznam się, że chciałbym tak pisać, bo mimo różne złośliwości, nikomu człowiek krzywdy nie czyni.

Dekorator, którego w programie nazwano scenografem nie wysiłk się specjalnie. To, co oglądamy jest raczej kiczowatym udawaniem nowoczesności i jak miemam taki miał zamiar, tylko dobrał sobie z magazynu kanapki i fototele z innej epoki, pewnie żeby wyszło taniej, a wyszło tandetniej. Rozdwojenia dostała także Krystyna Kamler — kostiumolog tegoż zdarzenia. Mężczyzn ubrała jakby przeszli z sąsiedniej kawiarni „Monopol” prosto na scenę, natomiast panie, poza Celimeną, mają toalety z jakiejś niedobrej operetki. Wszyscy są tak bardzo eleganccy, że aż zęby bóla. W każdym razie cień konsekwentnej myśli znaleźć w tym trudno.

Rozgrzewałem swoje szare komórki na wszystkie możliwe sposoby, żeby odczytać, co miały znaczyć różne pantomimy po ciemku zamykające poszczególne obrazy z towarzyszeniem zespołu „Novi Singers”. Wreszcie wpadłem. Otóż nic one nie znaczą. Po prostu nikt nie potrafił wymyślić lepszego przerywnika. Tempo przedstawienia sprawia wrażenie, iż oglądamy film wyświetlany przez zdezelowany projektor, który kręci się raz szybciej, raz wolniej, jak mu się trafi. Można w związku z tym podejrzewać, że pani reżyser przysypiała podczas prób i przez to nie dostrzegała jak jej się wszystko między palcami rozlaźli.

Kontrastowała z tym anturazem jedynie Małgorzata Dobrowolska grająca postać, wokół której toczy się cała akcja — Celimenę. Odbijała nie tylko dobrymi chęciami nie zawsze popartymi warsztatem, ale przede wszystkim świeżością i wdziękiem wampa ostatnich dwóch dziesięcioleci tego wieku. Niech to nikogo nie dziwi, że akurat wyróżnieni tę aktorkę dobrym, jak miemam słowem, ale nie wiem dlaczego zawsze kobiety bardziej przypadają mi do gustu niż mężczyźni.

Teatr Kameralny we Wrocławiu. „Mizantrop” Mollera w wolnym przekładzie prozą Jana Kotta. Reżyseria — Maria Straszewska, scenografia — Marek Dobrowolski, kostiumy — Krystyna Kamler, opracowanie muzyczne — Zbigniew Piotrowski. Premiera czerwiec 1981.